Horace B. Fyfe

Chwila namysłu

(Afterthought)

`

Future Combined with Science Fiction Stories, January 1951

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Minęła dopiero niecała godzina, od czasu gdy rakieta zwiadowcza SC-3, ze statku *Comet*, wylądowała na piątej planecie małego, żółtego słońca. Wystarczyło to jednak, aby astrogator Jacques, powędrował gdzieś na tyle daleko, że stracili z nim kontakt. Henry, drugi pilot, stał w grupie zaniepokojonych ludzi, zebranych wokół włazu wyjściowego śluzy powietrznej statku, pocąc się mocno w wilgotnej, lecz nadającej się do oddychania atmosferze obcej planety.

— Wątpię, czy uda ci się go przez to złapać, George — stwierdził Doc.

Pilot skinął z rezygnacją głową i wyłączył przenośny komunikator. Ktoś przesunął stopę i spod jego buta doleciał odgłos cmoknięcia klejącej się gliny, wyrzuconej w górę przez lądujący statek.

— Musi mieć rozładowaną baterię — zastanawiał się George. — Nie ma sensu próbować wywołać go przez radio statku; nie mógł odejść aż tak daleko.

— Pewnie spadł z jakiejś skały, próbując zrobić zdjęcie — wymamrotał czyjś głos z tyłu grupy.

— To możliwe — przyznał Henry. — Zabrał ze sobą aparat fotograficzny.

— Dlaczego dali mi na astrogatora takiego szurniętego pstrykacza? — poskarżył się George. — Uważam, że musimy go znaleźć, zanim zabierzemy się za jakąkolwiek inną robotę.

Zapadła cisza. Każdy miał własną pracę do wykonania, niezbędną do zbadania tej planety.

— Lepiej, jeśli będę w grupie poszukiwawczej — w końcu oznajmił Doc. — Może być ranny.

— Mamy więc pierwszego ochotnika — zgodził się George. — Jeszcze ze dwóch chętnych?

Rozdzielili się, tak że Henry i Jeff, pomocnik inżyniera, poszli z Docem, pozostawiając na statku George'a i Antona. Doc przerzucił przez ramię torbę z pakietem pierwszej pomocy i zabrał też lekkie, składane nosze. Widząc, że Jeff bierze małe radio, Henry zarzucił sobie na plecy pojemnik z wodą. Po chwili zastanowienia, wziął też ręczny blaster, przypominając sobie, że z powietrza dostrzegli kilka ptaków i latających gadów. Pewnie nie ma tu żadnych innych zwierząt, ale…

Nikt z nich nie miał jakichś specjalnych doświadczeń z dziką naturą, ale początek szlaku, którym wyruszył Jacques, był łatwy do znalezienia. Ktoś widział, jak kierował się w stronę kępy krzewiastych roślin, rosnących na granicy równego, otwartego obszaru, na którym wylądowali. Teren porośnięty był czerwonawymi, krótkimi porostami, bardziej podobnymi do

pnączy, niż do trawy, i buty ludzi rozdeptywały je, wbijając w gąbczastą ziemię.

Po kilku minutach dotarli do „lasu”. Z tego, co widzieli z powietrza, pokrywał on mniej więcej akr terenu. Roślinność była w większości lekko purpurowa, podobne do paproci krzaki, sporo wyższe, niż wydawało się to z dalszej odległości. Widać było również wiele splątanych, wielopiennych drzew, o ciemnych, mięsistych liściach; trudno było powiedzieć, jak były one powiązane z plątaniną czarnych i czerwonych pnączy, które przeplatały się przez wszystko.

— Ciemno tutaj — zauważył Doc, a jego różowa twarz zrobiła się ponura.

— Niczego tam nie może być — odparł Henry. — Za cicho.

Ciągle rozkoszował się nadzieją, że okaże się to prawdą, kiedy Doc zaskoczył go, krzycząc na Jacquesa. Przez chwilę nasłuchiwali, ale nie było żadnej odpowiedzi.

— No dobra, lepiej ruszajmy przez to cholerstwo — powiedział Jeff.

Szedł jako pierwszy, rozpychając na boki zwisające pnącza. Następny maszerował Doc ze swymi noszami, a na końcu podążał Henry.

Już po kilku minutach, drugi pilot zdał sobie sprawę, że nigdy nie uda im się znaleźć dalszych śladów Jacquesa. Obejrzał się za siebie i stwierdził, że nie jest już nawet pewien, którędy doszli w to miejsce. Zwisające paprocie zasłaniały wszystko, a jego poczucie kierunku myliła plątanina lian i pnączy.

— Hej! Czy wiesz którędy iść dalej? — zawołał do Jeffa.

— Nie mam zielonego pojęcia — odparł inżynier. — Usiłuję tylko przedostać się przez to gąszcze, którędy się da.

— Jak tam jest? — spytał Doc. — Ciągle tak gęsto?

— Dam mu zmianę — zaoferował się Henry.

Zamienili się miejscami, przeciskając się między Docem i skłębioną masą mokrych paproci, i Henry przejął prowadzenie. Po pokonaniu niecałych dziesięciu kroków, stanął przed potężnym pnączem o grubości niemal człowieka w pasie.

— Potraktuj je blasterem — zasugerował Doc.

Henry wystrzelił w pnącze i w nagrodę, pojawiła się przed nim pusta przestrzeń o rozmiarach jakichś dwudziestu stóp.

— Co to było? — dopytywał się Jeff.

— Tylko malutki wystrzalik — odparł Henry, wyglądając do przodu.

Za polanką, plątanina pnączy zdawała się nieco rzednąć.

— Nie, to było coś innego — upierał się Jeff. — Słyszałem już kiedyś coś podobnego – to brzmiało jak ujadanie psów myśliwskich niosące się po dolinie.

— Ja nic nie słyszałem — stwierdził Doc. — Kiedy to było?

— Zaraz, jak Henry rozwalił na pół to pnącze.

— Jefferson, to co słyszałeś — powiedział Doc, — to było echo wystrzału z blastera. Idziemy dalej!

Henry parł naprzód. Nadal słyszał jak Jeff uparcie kłóci się z Docem, ale nie zwracał na to uwagi. Miał dość tego gęstego kłębowiska roślin. Zastanawiał się, czy czasami nie zaczyna wpadać w jakąś neurozę; może za długo przebywał w kosmosie, żeby teraz czuć się swobodnie pod gołym niebem.

Pokręcił głową i rzucił się w brzydkie purpurowe zielska, ignorując nieskuteczne wysiłki innych, aby za nim nadążyć. Przeciął kolejne grube pnącze, przyglądając się jak jego upalone wystrzałem końce skręcają się do tyłu, w sugestywnym ruchu naśladującym agonię. Zdecydował, że to miejsce w ogóle mu się nie podoba.

— Dlaczego nie zawracamy? — spytał, zatrzymując się, aby otrzeć rękawem pot z twarzy. — Jedyne, co możemy tutaj zwojować, to samemu się zgubić.

— Musimy zrobić wszystko, żeby znaleźć Jacquesa — powiedział Doc.

— Taaa, trzeba iść dalej — wymamrotał Jeff. — Ale, z tego co tu widać, to równie dobrze mogliśmy do tej pory chodzić w kółko! Jaki to ma sens? Wróćmy na otwarty teren i obejdźmy to gąszcze!

— On nie może być już daleko od nas — sprzeciwił się Doc zmęczonym głosem.

— Dawaj mi ten blaster! — niecierpliwie zawołał Jeff. — Idziemy!

— Co cię tak popędziło? — dopytywał się Henry.

Tym niemniej, oddał blaster i prowadzenie, podczas gdy inżynier rzucił mu radio. Podążał wytyczonym śladem marząc o uldze jakiej dozna, na widok drugiego krańca tej dżungli. Może, pomyślał sobie, dobrze by było wywołać George'a, aby dostać namiar kierunkowy ze statku.

— No pewnie! — powiedział do siebie. — Parę piknięć powie nam, w którą stronę powinniśmy iść. Coś dzisiaj wolno myślę.

Sięgnął po radio i w tej samej chwili uświadomił sobie, że nie ma go na ramieniu. Od kiedy?

— Do diabła! — wymamrotał pod nosem. — Nie zabrałem go, kiedy Jeff przejął prowadzenie.

Popatrzył a pozostałą dwójkę i zdecydował się, że nie będzie ich wołał. Trzeba zrobić tylko kilka kroków w tył, a oni mieli wystarczająco dużo problemów, przebijając się właśnie przez szczególnie gęsty fragment dżungli. Potykając się ruszył do tyłu, ale radio zniknęło gdzieś w poszyciu.

Wzruszył ramionami i poszedł z powrotem za Docem i Jeffem. Nadal szarpali się, aby przebić się przez wyjątkowo gęste kłębowisko roślin.

— Nie mogę sobie przypomnieć, czego my tu właściwie szukamy — wymamrotał. — Co się ze mną dzieje?

Przed oczyma przemknął mu jakiś cień. Instynktownie wkulił głowę w ramiona i rzucił do góry spojrzeniem. Przez wiszące nad głowami pnącza przebiły się dwa splątane w walce ciała. Henry'emu mignęły tylko przed oczyma trzepoczące błoniaste skrzydła, pokryte łuskami tułowia i splamione czerwienią szpony. Walczące stworzenia ciężko uderzyły o ziemię, niedaleko niego.

Ta chwila przerwy całkowicie zmieniła otaczającą go scenerię.

— Jeezu! — głęboko odetchnął Henry.

Wyglądało to jak rozmyty stary film, który nagle nabrał ostrości.

Zobaczył teraz, że jego towarzysze z pewnością nie przebijali się przez gęstą roślinność. Raczej skręcali się coraz słabiej w uścisku… czegoś… co wyglądało jak pnącze i unosiło ich spory kawałek nad ziemią.

Kolejna mięsista macka wiła się by pochwycić walczące gady. Jedno z tych wojujących stworzeń puściło swego przeciwnika i próbowało rozłożyć poszarpane skrzydła, aby uciec. Kolejne „pnącze” chłosnęło je, chwytając i miażdżąc w uścisku. Latający stwór wydał z siebie syczący pisk, niemal o zbyt wysokim tonie, by Henry mógł go dosłyszeć. Zimny dreszcz przeszył człowieka.

— Całe to miejsce jest żywe! — wysapał.

Kilka jardów po jego lewej stronie prześwitywało światło dzienne. Nie namyślając się ani chwili dłużej, pomknął w jego stronę przez podmokłe paprocie, sam zdumiony prędkością, jaką nagle były w stanie rozwinąć jego nogi.

Zaskakująco szybko wynurzył się na otwartą równinę, na której spoczywał SC-3. Obsesyjne uczucie otumanienia, rozwiało się na widok pustej przestrzeni. Biegnąc w stronę statku, ośmielił się nawet wrócić myślami do minionych wydarzeń.

Kiedy przypomniał sobie poskręcane ciała Doca i Jeffa, wstyd walczył w nim ze strachem i cieszył się tylko, że podczas jego ucieczki ich twarze zwrócone były w innym kierunku. Tuż za nimi widać było, owinięty dokładnie przez mackę, zawieszony jak kokon, ciemny tłumok. Jacques…?

— Było tam jeszcze coś innego — powiedział do siebie. — Coś rozłożystego i przytulonego do ziemi… coś, co nie pozwalało mi na siebie spojrzeć…

To było to! Zdał sobie sprawę z tego, że ta mała dżungla nie mogła być ani tak gęsta, ani tak rozległa, jak widziały ją ich oczy. Coś kontrolowało ich myśli.

Wydostał na otwartą przestrzeń mniej więcej sto jardów od miejsca, w którym zagłębili się w dżunglę, tak że biegł do statku z innej strony. Dopiero kiedy pokonał połowę odległości do SC-3, ociekając potem i nie śmiejąc obejrzeć się za siebie, człowiek stojący przy śluzie powietrznej, odwrócił w jego stronę głowę. Potem postać ta uniosła rękę, wyraźnie wskazując w stronę purpurowej dżungli.

Henry zwolnił do szybkiego marszu i spojrzał we wskazanym kierunku. Przez pustą przestrzeń szedł kolejny człowiek, jakieś sto jardów na lewo od niego. Wyglądał jak George.

— On pójdzie tam dokładnie naszym śladem — pomyślał Henry.

Pilot zdawał się iść przed siebie osobliwie sztywnymi ruchami, chociaż mogło to być jakieś złudzenie wywołane przez przesączone wilgocią powietrze. Doszedł do krawędzi gęstwiny i zniknął w niej. Henry nadal zmierzał w stronę statku.

W śluzie powietrznej statku, stał Anton, główny inżynier. Miał szczególny wyraz twarzy.

— Znalazłeś Jacquesa? — spytał ze swoją urywaną wymową. — A reszta – gdzie oni są?

— Zostali w dżungli — krótko stwierdził Henry. — Czy to George'a widziałem przed chwilą?

— Tak, to George — odparł Anton z pozbawioną barwy intonacją, która pozostawiła sprawę zawieszoną w powietrzu, pomimo definitywnego charakteru użytych słów.

— Właśnie sobie poszedł — dodał jeszcze. — Nie odezwał się do mnie nawet słowem. Może, kiedy wyszedłem na dwór, był już za daleko, żeby mnie słyszeć.

Henry krótko się zastanawiał. Cokolwiek było tam w dżungli – albo raczej, czymkolwiek była ta dżungla – musiało dysponować mocą w znacznym stopniu hipnotyczną. George był już martwy. On sam miał szczęście, że coś odwróciło jego uwagę i przez to osłabiło uchwyt na jego umyśle. Jeszcze minuta, dwie i byłby przekonany, że radio jest mu w ogóle niepotrzebne. Ta myśl, wstrząsnęła nim.

— Założyłbym się, że Jeff wtedy nie wziął już ode mnie blastera, tak jak ja nie wziąłem radia. Co za obsuwa.

Tak więc, zostali tylko on i Anton. Mogli jeszcze dostać się z powrotem na *Comet* – pod warunkiem, że nie będą zwlekać ani chwili dłużej.

— Chodź do środka — opryskliwie zakomenderował. — Odlatujemy stąd.

— A co z innymi?

— Oni już nie wrócą. O co chodzi, polubiłeś to miejsce, czy co?

— Nie — stanowczo zaprzeczył Anton, podążając za nim do środka śluzy. — W ogóle mi się tu nie podoba. Tutaj coś jest…

— Tak!

— Ale…

— Oni są martwi, mówiłem ci przecież! Nawet jeśli George jeszcze żyje, to już nie potrwa długo.

Anton spojrzał na niego, obojętnymi niebieskimi oczyma, ale posłusznie zamknął właz. Czekali niecierpliwie, stojąc pod bakteriobójczymi lampami przez odpowiednio długi czas. Potem otworzył się wewnętrzny właz.

— Co było tam, w dżungli? — Anton przerwał pełną napięcia ciszę.

— Później. Teraz nie chcę o tym mówić. Rzuć okiem na przyrządy, a ja rozgrzeję silniki.

Henry niemal biegiem wpadł do pomieszczenia sterówki. Usiadł w wyścielanym fotelu i przypiął się do niego, tak na wszelki wypadek.

Kiedy był już gotów, połączył się z Antonem przez interkom, aby go ostrzec o starcie. Nie było odpowiedzi.

— Niech to diabli! — warknął Henry.

Kiedy wymacał palcami i otworzył sprzączki pasów, skoczył do drzwi i pomknął korytarzem. Tak jak się spodziewał, czujnik na śluzie wskazywał otwarty właz zewnętrzny. Klął i wiercił się gorączkowo, przez cały czas

czas, po którym mógł otworzyć właz wewnętrzny. Potem szarpał się przez chwilę z zewnętrznym.

Zanim udało mu się wyjrzeć na zewnątrz, Anton był już za daleko, aby go dogonić, powłócząc nogami w sztywnym truchcie, zmierzał w stronę kępy roślinności.

— Nie myślałem, że to może mieć taki zasięg — wyszeptał Henry.

Pośpiesznie spróbował przeanalizować swoje myśli. Czy były w nich choćby słabe ślady obcego sondowania?

Nic na to nie mógł poradzić. Mógł tylko wystartować i liczyć na to, że nic w maszynowni nie będzie wymagało żadnych korekt. Raz już oparł się temu przeklętemu stworzeniu, ale wystarczyłoby, że przez jedną chwilę nieuwagi, zagapi się i otworzy swój umysł. Przede wszystkim, musiał ostrzec statek, aby tu nie lądował.

Wycofał się z powrotem do śluzy powietrznej.

— Poza tym — wymamrotał, czekając nerwowo, aż otworzy się wewnętrzny właz, — mały Henio nie da się przerobić na karmę dla roślin.

Wystartował parę chwil później, idąc ostro w górę.

— Kursem będę się martwił potem — pomyślał sobie. — To, czego przede wszystkim potrzebuję, to odległość.

Kiedy osiągnął wysokość około tysiąca mil, próbował połączyć się z *Comet*. Ponowił próbę nieco później. Po trzecim podejściu, nagrał taśmę do automatycznego nadajnika.

— Zobaczmy — wyszeptał. — Mniej więcej co pół godziny? Chyba jednak lepiej, jeśli wybiorę odstęp dwudziestominutowy.

Uważnie ustawił maszynę na wysyłanie wiadomości co dwadzieścia minut i wrócił do sterów. Co prawda nie miał tutaj nic do roboty, dopóki nie dostanie namiaru na *Comet*, ale po tym wszystkim co przeszedł, szczytem ironii byłoby przegapienie jakiegoś ostrzeżenia przed meteorami.

— Diabelnie podstępne stworzenie — zaczął rozmyślać. — Brało nas po jednym na raz. Jacques, potem Doc i Jeff – prawdopodobnie wykaraskałem się z tego tylko dlatego, że trzech mężczyzn i dwa smoki jednocześnie, to było dla niego trochę za dużo. Potem George. Zaraz jak tylko znalazł się pod jego kontrolą, wezwało do siebie Antona. Bardzo metodycznie. Proszę ustawić się w kolejce, panowie. Nigdy nie miałem większego farta.

Tylko, czy był już bezpieczny, zastanawiał się? Ciągle mu się wydawało, że zapomniał czegoś zrobić. Może powinien sprawdzić maszynownię, nie otrzymał przecież raportu od Antona. Poszedł na rufę i przeprowadził pośpieszną inspekcję. Wszystko było w porządku.

Wrócił do sterówki, ciągle zaniepokojony i usiadł z rękoma na sterach, próbując sobie przypomnieć, czego to mógł jeszcze zaniedbać.

Wrażenie jednak nie ustępowało.

Coś w tym musi być, pomyślał.

Zbyt często widział, jak „intuicja” ratowała w kosmosie życie, aby zignorować to ciche zrzędzenie w głębi umysłu. Musiał gdzieś przeoczyć

jakiś drobny, nie do końca załatwiony problem. Pójść i jeszcze raz sprawdzić statek?

Nie, zdecydował, nie powinien odchodzić od sterów. Pewnie będzie musiał ich użyć, jeśli zdecyduje się zawrócić i szukać niezałatwionych problemów. Tak przecież należy postępować z niezałatwionymi problemami. Trzeba wrócić i je załatwić. Zawrócić statek i lecieć z powrotem.

Wyciągnął rękę i włączył silniki sterujące. Statek zaczął skręcać. Kiedy tylko dysze głównych silników znalazły się we właściwej pozycji, mógł ruszyć z powrotem. Pole grawitacyjne planety, powinno mu pomóc, nie będzie musiał bardzo długo hamować. Był pewien, że uda mu się znowu znaleźć to miejsce…

Kiedy statek zawracał, zepchnęło go na bok. Jego spojrzenie spoczęło na automatycznym nadajniku, który tak uważnie dostrajał.

— Piekło Słońca! — wymamrotał pod nosem. — Zapomniałem go włączyć!

No cóż, nie miało to specjalnego znaczenia. Bardziej istotne było, aby skoncentrować się na znalezieniu miejsca poprzedniego lądowania. To stworzenie w paprociach, powiedziało mu kiedy ma wrócić, ale jakoś na chwilę zapomniał o tym. Teraz zaczął sobie przypominać, ponieważ był czas, żeby sobie o tym przypomnieć, ale w międzyczasie pokonał tę całą drogę w kosmos, jak jakiś głupiec…

KONIEC